DZIENNIK
Mód Paryskich.

LWÓW 16 CZERWCA 1841. Ner. 12. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Paryż 20 maja.

Stroje damskie. Pierwszy maj zeszedł nam bardzo przyjemnie, wieczór był pogodny i cichy, śrebrny xiężyc wyzierał z błękitnego nieba, wszystkie budynki rządowe oświetlone były spaniale, podobnież błyszczały od rzęsistych świateł pola elizejskie, *de l' arc de l' Etoile, place de la Concorde, de la Madalaine, des Tuileries.* Ulice były napełnione przechodzącymi. Nazajutrz była wielka uroczystość: z kościoła panny Marii powiewała chorągiew, wewnątrz słupy i ściany powleczone były axamitem i adamaszkiem, tysiące gorzało świateł, ażeby rozjaśnić głębokie sklepienia zmarszczone powagą wieków. Arcybiskup otoczony licznem duchowieństwem przyjmował w axamitnym namiocie króla który prowadził za rękę hrabiego Paryża (*le Comte de Paris*) ubranego w bieli. Król i królowa byli kumami wnuczka swojego. Zgromadziła się na tę uroczystość cała rodzina królewska: królowa belgijska, xiąże würtemberski, wszyscy panowie i deputowani. Królowa miała suknię z atłasu białego i kapelusz biały z piórami, xiężniczka orleańska miała suknię z korunek indijskich (*guipure*) i mnóstwo diamentów. Piękna xiężna Nemours była w sukni błękitnej, z mnóstwem kwiatów we włosach. Wieczorem oświetlono miasto. Nazajutrz odbył się przegląd wojsk, a piątego maja obchodzono rocznicę śmierci Napoleona u Inwalidów. Czas mamy tu prześliczny, upały ogromne.

Suknie zwane amazonkami są bardzo noszone i prawie powszechne: mają stanik gładki z trzema rzędami guzików na przodzie i z jednym rzędem guzików do dołu; rękawy gładkie także z guzikami. Najpowszechniejsze są czarne z lewantyny lub grodenaplu *chiné* zwanego i takież same rańtuchy. Teraz największy zbytek zjawił się w rańtuchach których tyle mieć się musi ile sukień, gdyż jaka suknia takisam rańtuch być powinien; czarne tylko i białe mogą być do każdej sukni użyte. Falbany zupełnie wyszły z używania; suknie noszą całkiem gładkie lub tylko z dwoma *biais* ogarnirowanemi wąziutką bardzo frężelką w koło. Rękawy noszą szerokie, a wązkie tylko przy sukniach amazonkami zwanych, jak już wyżej wspomniano. Barysze (*barége*) są bardzo noszone, osobliwie bladoliliowe. Muszlinki i żakonety najwięcej są używane tego roku w drobny deseń jednego koloru. *Guipure* są do każdego ubioru nieodbicie potrzebne, widziałam już chustki i rańtuchy guipurowe, podbite kolorowo Korunki a szczególniej walencijskie (*valenciennes*) są koniecznością gdyż tylko niemi kołnierzyki garnirują.

Kapelusze noszą najwięcej ryżowe, i krepowe osobliwie białe i bladoliliowe, najczęściej z trzema małemi piórami strusiemi przypiętemi w tyle bardzo nisko, wstążek nic prawie; forma ich jest bardzo mała, przy uszach długie, czoło prawie na wierzchu, a głowa mocno w tył przechylona. Loki noszą bardzo długie i przezroczyste, a włosy prawie na karku, do ich ozdoby nieużywają tylko dwoch szpilek złotych weneckiemi zwanych.

Rękawiczki długie czy krótkie, białe czy czarne powinny być *en filet,* to jest gatunek siatki, przytem z fontaziami lub kutasikami. Teraz robią tu szale przepyszne *sous envers* to jest na obydwie strony jednakowe.

Stroje męskie. Najnowsze fraki mają wąskie kołnierze, dosyć szerokie klapy, wykładają się do przedostatniej dolnej dziurki, krótkie i wąskie rękawy bez mankietów. Wcięcie z przodu nie wielkie i dlatego też poły szerokie a u dołu okrągło zcięte.

Spodnie z materii lekkiej, ciągniącej się nazwanej *Lastyny* i kamizelki z kaszmiru letniego, nie bardzo otwarte. Krawaty pstre.

Dzisiejsze ryciny przedstawiają: suknie z muszlinu indijskiego, tudzież szlafroczek z materii jedwabnej kratkowanej, i kapotka z krepy. Frak jakeśmy już wyżej opisali: klapy znacznie szersze od kołnierza, rękawy bez mankietów i bez patek na biodrach. Tużurek francuskoczarny do góry zapięty.

Romans jakich wiele.

Lwów piękneto miasto! ma dużo ulic dość długich, dość obszernych, ma piękne domy, piękne kościoły, wysokie wieże, ładne sklepy, zabawne teatra, pożyteczne xiążnice. Prawdziwie, we Lwowie każden znajdzie zabawy; każden podług swej wyobraźni, podług swego charakteru i wieku we Lwowie mile życie przepędzić może. Tu wesoły młodzian po skończonej nauce, po odbytych podróżach, znajdzie czem czas zabić, znajdzie towarzystwa, znajdzie bale, teatra, opery, które chociaż różnią się od oper włoskich, przecie bawią i łechcą ucho, bo to są swojskie, krajowe. Tu także człowiek sędziwszy któren przestał się ubiegać za mamidłami, znajdzie rozrywkę, znajdzie dobór xiążek, znajdzie wista lub taroka. Młoda kobieta ładna i miła znajdzie swój żywioł: sklep pani Adamskiej napełniony gazami i puchami; ale i starsza pani, która według metryki dochodzi przeszło czterdziestki, a podług chęci i wyobraźni już od dawna na dwudziestym dziewiątym roku stanęła, znajdzie czego jej do życia potrzeba: ruż i bielidło w sklepach galanterijnych, ząbki u pana Kaligi, banie rogowe u pana Łokczeskiego i piękne włosy złote lub krucze u pana Sztoka. Słowem, niema jak Lwów. Bodajto żyć we Lwowie!

W tymto Lwowie mieszkał Wiktor, dochodzący lat dwudziestu; byłto chłopiec brzydki z twarzy, czarny i smaglawy, ale dobre ułożenie, umienie znaleść się w towarzystwie, robiło go miłym i podobającym się damom. Właśnie siedział u siebie sam z załamanemi nogami na kanapie z najnowszą powieścią Kraszewskiego w ręku, wtem słyszy pukanie do drzwi. Proszę! odezwał się. A jak się masz Władysławie! tak dawnośmy się nie widzieli, co porabiasz, gdzieś przebywał?

— Prawda kochany Wiktorze, zaniedbałem cię troche, ale w tem nie moja wina, czy nie wiesz, że jutro właśnie kończy się panowanie Bachusa? Całkiem byłem oddany zabawom i hulatyce. Ale że cię nigdzie nie było widać, na próżno sledziłem okiem po salonie hrabiny O*. Myślałem, że przynajmniej u pani M* cię zobaczę, gdzie powaby p. Klotyldy wszystkich znęcają; ale na próżno, jak widzę, nigdzieś nie był! —

W istocie nigdzie nie byłem kochany Władysławie i dałem sobie słowo, że tego karnawału zupełnie nigdzie nie będę, pomimo że pełno miałem zaprosin. Ot leży właśnie karta xiężnej W*, ale nie byłem. —

Żałuj Wiktorze, żeś na nim nie był, bawiliśmy się wyśmienicie, prawie do ranka, jaka śliczna panna G* co teraz właśnie bawi u xiężny.

Nie znam jej zupełnie Władysławie, i niemam nawet chęci poznania. Dla mnie jeszcze czas, później wynagrodzę sobie wszystkie te zabawy. Właśnie mimo niechęci był także egzamin przyczyną, że nigdzie nie bywałem. —

Ach przestań Wiktorze mówić o skryptach a lepiej poradź mi w tym kłopocie, w jakim się znajduję. Proszę cię, dziś jestem zaproszony na trzy bale. U hrabiny B*, u pani S* i u pani P*. Nie wiem co począć, tu mnie wabi piękność Rózi, tu będzie Marynia, a u pani P* ma być ładna hrabianka D*. Sam niewiem, co czynić, chciałbym się rozedrzyć na troje. —

Ale Władysławie wybór najłatwiejszy. Hrabina D* będzie z mężem, nic ci z niej nie przyjdzie. Zosia wiesz po zaręczynach, jedna Marynia wolna, ładna, a przytem posagu dziesięć tysięcy czątych.

Nie, ja chcę wszystkie trzy. Cha! cha!

cha! ty zaraz myślisz, że się będę starać, jeszcze nie oszalałem; ja chcę wszystkie zbałamucić, niech się we mnie kochają, niech głowę tracą, bylem się zabawił. A o ożenieniu ani myślę; zanadto szanuję wolność kawalerską. —

Ale Władysławie szósta dochodzi, mam dziś być u państwa T*. —

A to poco? czyś oszalał? tam niebawi żadna ładna panna; oni starzy; ha! może będziesz grał wiska z kotkiem?

O nie myśl Władysławie tak źle o mnie, będzie tam ich wnuczka Julia, ja ją kocham, a jaka ładna! jaka miła! —

Taż to dziecię jeszcze. —

Ma lat pietnaście Władysławie, ja zaczynam rok dwudziesty, właśnie możemy się kochać lat pięć. —

A, słowo ci daje, kochany Wiktorze, żebym oszalał, gdybym miał się kochać przez lat pięć. I jakże? ty będziesz stały, nikogo nie zbałamucisz, a fi donc! jak można tylko jednę kochać, *ce n'est pas du bon ton;* bierz ze mnie przykład, ja kocham Julię, Zosię, Marynię, Henrykę i piątę Klotyldę. A dziś jestem na balu u hr. B* tam się zakocham jeszcze nie w jednej.

Winszuję ci kochany Władziu ale nie zazdroszczę. Chodźmy, szósta bije. Julia będzie czekać. —

Pokoje pani T* były oświecone. Sama pani siedziała na kanapie z dziennikiem Kulczyckiego w ręku, dzwonek tuż przy niej stał na stoliku, a piesek leżał u nóg jej na miękkiej poduszce. Pani T* byłato osoba nie młoda, a w jej rysach trudno było znaleść dawnej piękności, mimo to jednak mówią że była bardzo ładna, i zachwycała niejednego naszego tatusia. Mąż jej człowiek z siwym włosem, wysokiej postawy, miał rysy szlachetne; ubrany ładnie ale nie najmodniej, przechadzał się po pokoju, i to objaśniał świece, to robił porządek na stoliku, odsuwał leżące karty, przysuwał karafki i szklanki, poprawiał firanki i ustawiał krzesła. Pani T* kładąc na stolik dziennik, odkaszlnęła, zażyła tabaczki, wstała z kanapy i przybliżyła się do męża. Coś nie widno, kochany Jasiu, dzieci. —

Niewiem kochana Magdalenko, co to się znaczy. —

Jasieńku, czy tylko nie mieli jakiego wypadku. A może która z nich upadła. —

A dziś Magdalenko bardzo ślisko. —

Pani przysunęła się do stolika i zadzwoniła; dzwonek cieniutkim głosem zabełkotał kilka razy, i znów spoczął na swojem stanowisku; piesek się przebudził, stanął na dwoch łapkach, i zaczął atłasowę suknię pani T* przedniemi łapkami prasować. Drzwi się otworzyły, piesek wybiegł na środek pokoju, uszy wyprężył, a poznawszy, że to stary Jan, obrócił się, i skoczył na kanapę. Janie, coś pani hrabina nie przychodzi, szósta minęła, może mieli jaki wypadek. A tak, ozwał się pan T* trzebaby skoczyć: — Dobrze panie! ozwał się Jan, i powolnym krokiem szedł ku drzwiom. Prędko Janie, rzekła pani T*. Dobrze pani! odpowiedział Jan, zamykając drzwi za sobą. Wtem powóz zaturkotał, okna zabrzękły, a państwo T* słuchali, zachowując największe milczenie Usłyszano biegnienie po schodach. To oni rzekła pani T*. Tak to oni, rzekł pan T* i wyszli do drugiego pokoju. Weszło cztery kobiet, jak widno matka z córkami; po zwyczajnych przywitaniach, w czem mały żoli zerwawszy się z kanapy, nikomu pierwszeństwa nie ustąpił, całe towarzystwo wprowadziło się do drugiego pokoju, i zaczęły się różne rozmowy. W jednym kącie państwo T* z córką hrabiną Ł*, a w drugim trzy córki razem; w pierwszem towarzystwie toczyła się rozmowa poważna, nie bardzo głośno. U młodszych zaś przeciwnie: mówiono głośno, śmiano się szczerze i wszystkie trzy panienki najczęściej razem mówiły.

A czemu tak pożno przyjechałyście? zapytała pani T*, my myśleli że może jaki przypadek.

O nie! kochana mamo, odpowiedziała przyjemna kobieta w średnim wieku, hrabina Ł*, właśnie moje dziewczęta ledwieco zkończyły lekcię z panem *Abbé*.

Ale porzućmy kochany czytelniku te państwo, co tak serio się rozmawiają, a nastawmy ucha, co tam młodzi tak szczebiocą, bo słychać tylko głośne: czy być może! ale fe! i śmiech i więcej nic.

Julia byłato najmłodsza, ładną dziewczynka, figurka śliczna, pysio jeszcze ładniejsze, a zgrabniutka jak laleczka. Aniela najstarsza dochodziła lat ośmnastu, przyjemna i mająca już pretensie. Marynia była średnia, najmniej ładna i mało mówiąca. Jeszcze go niema, szepnęła Julia Anieli.

Ale czemu nieprzychodzi, odezwała się Aniela, siódma dochodzi; ach żeby tylko przyszedł, bawiłybyśmy się dobrze, nie

prawdaż Julio? — Osobliwie ty Julko, nie prawda?

Julia zaczerwieniła się, i wszystkie zaczęły się okropnie śmiać, tak że aż starsi się ozwali: coż tam tak zabawnego?

— Nic babciu, nic dziadziu, nic mamo, ozwały się kolejno spłoszone przepióreczki. Gdy tak rozmawiano w salonie pani T*, drzwi pobocznego pokoju zaskrzypnęły, na ten znak żoli, któren do tego czasu zabawiał się pod stolikiem zchwyconą grzanką, porzucił swoją zdobycz, i wybiegł jako domowy przyjmować wchodzącego; nic nie było słychać prócz zrucania płaszcza i szczekania faworyta całego domu. Wszyscy w pokoju w milczeniu zwrócili swój wzrok ku drzwiom, a pilny badacz byłby w oczach Julii zoczył niespokój, a na jej licu zaczerwienienie się, co tego aniołka jeszcze piękniejszym czyniło. Pan T* wyszedł, a w kilka sekund zoczono w pokoju, pana T*. a przy jego boku młody mężczyzna, nie mający lat dziewietnastu; był miernego wzrostu, i ładnego ułożenia, modnie ubrany, a włosy troche w nieładzie dowodziły że jego jednem zatrudnieniem nie były żurnale. Przywitał się ze wszystkimi bardzo grzecznie, bardzo elegancko, ale nie bez różnicy, bo prawdziwy badacz byłby znowu postrzegł, że spotkanie jego oczu z oczyma Julii różniło się od zwykłych przywitań: oczy ich zajaśniały nadzieją, a na twarzy dziewczyny i młodzieńca rozlał się rumieniec i słodki uśmiech. Mężczyzną był znany nam Wiktor. Podano krzesła, Wiktor bawił starszych, mówiono o wszystkiem tem, o czem młody mężczyzna z damami mówić zwykł: o teatrze, o operze, o aktorce, o śpiewaczce; biegły w tem Wiktor, po mistrzowsku zwrócił rozmowę ku literaturze, mówił o Balzaku, o C a ł e ż y c i e b i e d n a; z oczu dam łatwo wyczytać można było zadowolenie, które najwyższego doszło stopnia, gdy się Wiktor ofiarował, że najnowszemi dziełami służyć może. Weszło kilka osób, dam i mężczyzn; Wiktor korzystając z zamieszania, przybliżył się do panien, jak tego od dawna pragnął, lecz co pierwej nie wypadało.

Młody Wiktor był jak w raju, bo proszę sobie wystawić jego położenie: on między trzema miłemi panienkami z których jednę kochał tą niewinną miłością jaką dziewietnastoletni chłopiec kocha pietnastoletnią dziewczynkę; w tymto wieku, duszę można w oczach wyczytać i taka miłość tylko powinna się prawdziwą i niewinną miłością zwać, bo podobne uczucia nie są skażone zbrodnią.

Wiktor bawił panienki, bawił siebie jak najwyśmieniciej i raj niemógł sobie innaczej jak w podobnem położeniu malować. Przypatrował się licom Julii, przypatrował się jej złotym włosom, co spadały rzęsisto w formie tysiącznych rurek, i był przyjęty taką czcią, takiem uszanowaniem, jaka się świętym należy. Oczy Wiktora spotkały się z oczyma Julii; uczucie, jakiego w tej chwili doznał, tylko temu jest znane, co się w dziewietnastym roku życia swego tak namiętnie kochał jak on. Oczy wlepił w ziemię, i chwil kilka nic nie mówił. Dumał; o czem? o szczęściu, o niebie, o Julii... Przeszło minut kilka, on dumał jeszcze i byłby dumał dłużej, bo był w tej chwili tak szczęśliwy, jak nigdy śmiertelny więcej nim być nie może na ziemi; lecz miły głos Anieli przebudził Wiktora: zapytany, jak się bawi tego karnawału, sam niewiedział co odpowiedzieć, zlękniony, zadziwiony, jakby obudzon nagle z głębokiego snu, wyrzekł słów kilka niezrozumiałych, nie dokładnych, i znów zdybał się z oczyma Julii. Te go dopiero przebudziły całkiem, opamiętał się i zoczył, że nie jest w niebie, tylko na ziemi przy niebiańskiem stworzeniu! Szczęśliwy Wiktor, bawił wszystkie trzy panienki, wypytywał się o balach, o ubiorach, rozpowiadał o żurnalach, o dziennikach i kwiatach. W tem żoli zaskowyczał i pobiegł do przyległego pokoju, wszyscy jakby posłuszni na dany znak przestali mówić, i czekali z ciekawością, kto z gości wejdzie.

Weszła gromadka kobiet i mnóstwo panien, domowe panienki pobiegły witać przyjaciółki, a Wiktor sam oparty o drzwi nic nie mówił, z nikim się nie witał, tylko dumał, zatopiony w przyszłości; najświetniejszą sobie ją wystawiał w swej wyobraźni: widział się z Julią przy ołtarzu, widział się potem z nią razem w swym domu, widział się starcem, a Julię staruszką, widział się nareszcie na drugim świecie obok świętych i wybranych, ale zawsze widział się obok swej Julii, bo Wiktor malując sobie szczęście, niemógł już sobie je innaczej wystawić, jak przy boku ubóstwionej Julii.

Już panie były na nowo zajęły swe miejsca, trza było Wiktorowi porzucić miłe marzenia, przybliżył się, przywitał się

z nadeszłemi, i zajął miejsce przy gronie panien. Było ich kilkanaście. Wiktor zaproponował zabawę w gry, przyjęto z radością ten pomysł, i zaraz wyszła młodzież do drugiego pokoju. Wiktor był sam jeden między tyloma paniami, odgrywał więc główną rolę. Grali w różne gry, i jedna po drugiej następowała kolejno, grali to w tasiemkę, to w pierściunka, to w cenzurowanego; znow l u b i n i e l u b i, poźniej w s ą s i a d a. Wiktor tak sztucznie kierował grą, że zawsze był obok Julli, zawsze ją bawił, i jeśli się nie mylę, to i Julia się nie nudziła. Gra pomęczyła wszystkie panie, zaczęto więc myśleć o spoczynku. Siedli wszyscy; Julia szczęściem dla Wiktora siedziała na rogu, łatwo mógł sobie krzesełko przysunąć, by ją i siebie bawić. A gdyby kto był pilnie uważał, byłby postrzegł, że rozmowa była żywa i nieustawała.

Ach jaka pani była sroga w cenzurowanym! taka nielitościwa, prawdziwie taka pani nie dobra, rzekł Wiktor.

— Przeciwnie, odpowiedziała Julia; pan byłeś daleko sroższym odemnie, powinnam się nawet gniewać.

A pani umiesz się gniewać? Wątpię.

— O, niech pan nie probuje, bo ja nie łatwo przebaczam.

Ale tą razą nie jesteś pani rozgniewaną? Nie prawdaż?

— Troche.

Ale pani przebacza?

— Coż mam czynić! Będziesz pan jutro u stryjanki na pączkach?

Niewiem, jeśli mi czas pozwoli.

— A niech pan będzie.

Cela depend de vous.

— *De moi?* jakto?

Jeśli pani rozkażesz.

— Niemam nic do rozkazania, a przytem pewniesby pan mnie nawet nie posłuchał.

Wszystko uczynię, co pani każesz choćby i w ogień skoczyć.

— O, to tylko pana grzeczność. Ale u stryjanki tak mało danserów; zapewnie będziemy troche tańczyć.

Pani rozkazała więc i ja będę. Jak się pani bawiła u pani P*?

— Byłam tylko momencik. bo Marynia zasłabła, więc tylko na godzinkę pojechałyśmy z mamą.

Słyszałem że pani tańczyła kadryla z Władziem.

— A tak. Ale jakto pan Wiktor wie?

Wszystko wiem, co tylko pani się tyczy.

Wtem z drugiego pokoju odezwał się głos: *Julie!* A Juliia poprawiwszy sobie loczki, pobiegła prędziutko do wołającej ją mamy. Wiktor przemówił słów kilka do terazniejszej sąsiadki coś o grze, o spacerze; przestał, i zaczął głaskać małą żolkę. Julia przybiegła, szepnęła kilka słów Anieli, kilka Maryni, i zaczęły się ubierać w kapeluszyki. Hrabina Ł* żegnała się ze wszystkiemi, tożsamo panienki za przykładem mamy. Pan T* sprowadzał córki ze schodów. A Wiktor Julię. Przy wsiadaniu szepnął Wiktor do ucha swej sąsiadce: *Adieu, à revoir!* a głośno rzekł: *Bon soir.* Drzwiczki zatrzasnęły się, i nic nie było słychać prócz turkotu powozu i tententu koni. Pan T* uciekł prędko na górę przed mrozem i wiatrem. A przecież ktoś stał długo jeszcze na ulicy, bez kapelusza, w surduciku, z otwartą piersią, z jedną rękawiczką w ręku i patrzył w ulicę tak długo, aż ostatnie błyśnienie latarni przy powozie hr. Ł* znikło, aż turkot powozu ustał zupełnie. Stał urągając się z mrozu co pod nogami skrzypiał, urągając się z wiatru, co okropnie świszczał. I Napoleon stał w lekkim płaszczyku pod Berezyną, gdy tysiące innych trupem padało.

* * *

Nie rozmyślnie zacząłem pisać, i jak mamę kocham, skończyć nie mogę romans zaczęty. A jeśli czytelniku koniecznie zechcesz mieć koniec tej bajeczki, to sobie dokończ, przezco zrobiłbyś mi wielką przysługę. Zresztą napiszę ci jeszcze dalszy szkic: Julia i Wiktor kochali się taką samą miłością lat cztery, zchodzili się zawsze dwa razy na tydzień u państwa T* gdzie się doskonale bawili, słowem byli szczęśliwi! Lecz że w każdym romansie muszą być przeszkody, bo innaczej nie byłby romans, więc i nasz Wiktor doznał przeszkód, a to ze strony swej matki, która pragnęła widzieć syna, żeniącego się z bardzo bogatą. Wysłany więc Wiktor za granicę, tęsknił za Julią, nic go nie bawiło, nic go nie zajmowało, bo był bez niej; marzył o niej, i był najszczęśliwszy, gdy mógł się znajdować daleko od zgiełku, wśród drzew, dolin i pagórków. Intrygi domowe towarzyszyły mu i za granicą. Odbierał listy od matki, w których mu opisowała, że Julia całkiem o nim zapomniała, że się kocha

w pewnym oficerze, że razem ciągle chodzą po spacerach, bywają w teatrze, słowem, że jest ich codziennym gościem. Wiktor po odebraniu takiej wiadomosci był najnieszczęśliwszym z ludzi, błąkał się po Szwajcarii, drapał się po górach, a na zoczenie człowieka drżał cały. Został melancholikiem, mało z kim mówił, siedział na górze, dumał, i tak przepędzał dnie całe. Julia tymczasem po odjeździe Wiktora straciła wesołość, straciła rumieńce, nie bawiła się w towarzystwach, nudził ją teatr, była smutna i zamyślona ciągle, a łzy w oczach często można było spostrzedz. Pięknej Julii nie zbywało na partiach, lecz ona o tem sobie nawet wspomnieć nie dawała, żyła na świecie, lecz świat dla niej nie żył; umarł, od czasu wyjazdu Wiktora.

Z uciechą przypominała sobie błogie chwile, te dziecinne schadzki u babki, te gry w cenzurowanego, w myszkę i kotki, a po tych przypomnieniach zwykle łzami się zalewała. Biedna Julia! Matka Wiktora starała się zniszczyć w sercu Julii przywiązanie do swego syna; mawiała jej, że syn szczęśliwy za granicą, że w Anglii zakochał się w córce pewnego lorda, i że zapewnie się pobiorą, ponieważ Wiktora tak panna jak i jej rodzice bardzo kochają. Julię ta wieść dobiła. Ona mniemała, ze Wiktor niestałym być niepotrafi. Wyrzucała sobie, że go tak kocha, lecz odmienić tego nie zdoła, ona Wiktora kochała więcej, niż siebie samą. Nie odbierając od niego listów, była pewna, że Wiktor o niej zapomniał. Hrabia D* człowiek wiekowy, a mający ogromny majątek, starał się o rękę Julii. Julia posłuszna rodzicom, zezwoliła na ich żądanie, a więc ten staruszek hrabia D* miał zostać mężem Julii. Dzień ślubu był wyznaczony. Młoda Julia mówiła z hrabią otwarcie i szczerze. Wyznała mu miłość którą ma dla Wiktora, i przyrzekła, że chociaż go kochać nie może, przecież będzie żoną najlepszą. Hrabia zdawał się być na to obojętnym

Wiktor bawił ciągle w Szwajcarii, ciągle był odludkiem, ciągle nie żył jak tylko z swemi drzewami, dolinami i pagórkami. Natura zastąpiła mu miejsce Julii, i często mawiał do siebie że mu do szczęścia nic nie potrzeba, prócz towarzyszki swej młodości.

Ranek był piękny, ranek majowy, niebo czyste, powietrze chłodne. Słowiki śpiewały, drzewa rozwijały się, strumyk mruczał, żaby skrzeczały a słońce wstawało. Wiktor zerwał się z swego posłania, porzucił obrzydłe mu gmachy i poleciał na swe góry. Siadł i rozmyślał. Widok był cudny. Tu wznosiły się skały, tam była łąka, dalej lasek; łąki przerzynał strumyk, a tam daleko za łąką, za strumykiem, za pagórkami było kilkanaście chat rozsypanych. Kozy pięły się po skale, a pod nią siedział pasterz nucąc melancholijne pieśni na swej fujarze. Wszystko przemawiało do serca Wiktora. Dzwonek kościelny zadzwonił na *Ave Maria,* pasterz ukląkł i odmówił pacierze. Tam z poza pagórka pokazała się trzoda owiec, pędzona przez pasterkę. Pasterz to zobaczywszy, pobiegł, wziął ją popod rękę i siedli oboje nad strumykiem. Ona zaglądając w kryształ wodny, ubierała swe krucze włosy kwiatami; on grał na fujarze.

Widok podobny wzruszał do żywego biednego Wiktora, przypomniał sobie Julię, swe młode lata, razem spędzone chwile, łzy mu spłynęły po twarzy, lecz przypomniawszy sobie tę samę Julię, tę niewinnę, pięknę towarzyszkę swej młodości z oficerem, prędko otarł łzy, podparł się obydwoma rękami i dumał. Wtym nagle zrywa się z swego siedliska. Krzyknął: Ach może to tylko oszczerstwo! i leci z góry pędem jelenia. W moment zakryly go krzaki, i znowu panowała cisza na górze, co od tak dawna była świadkiem uczuć Wiktora. Słowik zaspiewał, wietrzyk zawiał i nic więcej prócz ciszy.

Alеż miałem tylko szkic tej bajeczki skryślić, a ja piszę sceny całkowite. A dajże mi pokój przyjacielu, północ bije, spać mi się chce. Słuchaj wreszcie lecz tylko słów kilka. Wiktor powrócił do Lwowa, zastał Julię jeszcze nie zamężną i kochającą go. Hrabia D* poznawszy Wiktora odstąpił od swego zamiaru, a cały swój majątek Julii darował. Matka Wiktora pozwoliła na ożenienie syna a Wiktor był mężem Julii.

O ich szczęściu, o ich pożyciu domyślaj się. *C.*

Kolumb.

Z Szyllera.

Żegluj mężny żeglarzu! niech cię płaz wyśmiewa,
Majtków u steru ręka opada leniwa;
Zawsze zawsze na zachód! tam brzegi być muszą,
Wszak wyraźnie jaśnieją przed twą boską duszą.

Ufaj w bóstwo wiodące, płyń! lądów przestworza
Choćby jeszcze niebyły, wystąpią z pod morza.
Jeniusz i przyroda w odwiecznym są mirze:
Co jeden obiecuje, druga płaci szczérze.

K. C.

Do Tadeusza i Julii.

Wędrowne ptaszę z ojczystego gniazda
Odlatuje w kraj daleki,
I nic w tę podróż, krom bożej opieki,
Nie bierze z sobą; boża tylko gwiazda
Lotem kieruje, a jednak ku wiośnie
Zdrowe i rzeźwe powraca radośnie.

I wy ciągniecie w świat jak ono ptaszę,
Bo ciężka zima mrozi gniazdo wasze;
Ale da panbóg nie traćmy nadzieje
Że i nam jeszcze wiosna się rozśmieje.

Wtedy wrócicie do swojego gniazda,
Wrócicie rzeźwi, wrócicie weseli,
Weselsi nawet niż wędrowne ptaszę,
Bo was z tym gniazdem nic już nie rozdzieli,
Bo tu za wami tęsknią serca nasze.

J. Podolecki.

Meyerbeer.

Znakomity ten muzyk urodził się w Berlinie z rodziców starozakonnych. Ojciec jego był w temże mieście bankierem. W dziecinnym prawie wieku okazywał Meyerbeer wielkie zdolności do muzyki. Już w dziewiątym roku życia dawał się w Berlinie na fortepianie słyszeć, a gra jego wyszczególniała się energią w wykonaniu, równie jak początkowe kompozycie oryginalnością myśli. Pierwsze dwa większe utwory kantatę: Bóg i natura, i operę Jefta, w Berlinie zaszczytnie przyjęto; w Munichowie ostatnia nie podobała się. Opera komiczna: Dwaj Kalifowie, doznała tego samego losu w Stutgardzie i Wiedniu. W Pradze dawano ją pod nazwą: Abimelek, czyli gospodarz i gość. W dwudziestym czwartym roku życia zwiedził M. Francię, zkąd do Włoch się udał, w celu głębszego obeznania się z spiewem, na czem dotychczas jego kompozyciom zbywało. Jego opery: *Romilda e Constanza, Margarita d'Anjou, Ema Resburgo,* zyskały we Włoszech wielkie pochwały; z najwyższym zaś entuziazmem przyjęto operę: *Crociato in Egitto,* tak we Włoszech jak w Paryżu i Niemczech. Tylko rodzinne miasto mistrza nie dzieliło tego powszechnego uwielbienia. W ostatnich utworach Meyerbeera wiał duch włoski; w Berlinie zawiązała się była narodowa szkoła. Zarzucano przeto M. wyzucie się z rodowych uczuć, a naśladowanie Rossiniego. W samej istocie, mówi jeden z poźniejszych krytyków niemieckich, M. podtenczas stał się całkiem naśladowcą Włochów. Niechęć ku zimnemu, wyrozumowanemu, bezbarwnemu berlinizmowi, wywołała w nim wcześnie naturalną reakcię, udał się do Włoch, gdzie przy swobodnem życiu, oddawszy się zupełnie domowym uczuciom stwarzał owe cudowne opery, w których najsłodziej przesadzony Rossini się objawia, są one złotem kapiącem, kwiatkiem mocniejszą wonią natchniętym. Te chwile były najszczęśliwsze w życiu M. Pisał w wesołym szale włoskich uciech, a tak w życiu jak w sztuce zrywał najleksze kwiatki.

Lecz nie tu stanął jeniusz Meyerbera. Pod dziecinnowesołem niebem Włoch zatęsknił za sędziwą powagą ojczyzny. Wrócił w rodzinne progi. To oddziałało na jego ducha i nowa przemiana w nim zaszła. Dotąd w jego utworach przebijało się pojedyńcze, odosobnione uczucie, cecha Rossinizmu, teraz jeniusz jego przebywszy dwie epoki swego rozwijania się, stanął na trzeciem stanowisku. Odtąd jego kompozycie są objawieniem nie pojedyńczego uczucia ale odbiciem uczuć całej ludzkości. Tajemniczy północnych borów szum i łagodną wesołość włoskich mirtów, niemiecką rozwagę i południową namiętność, połączył w jedną wielką harmonię. W Rossinim przeważa meledia, wyraz cierpień i uciech pojedyńczych ludzi; u M. harmonija ogółu. W rzece harmonijnych mas toną melodie jak giną szczegółowe uczucia pojedyńczych ludzi, w powszechnem uczuciu całego rodu. Spółcześni uwielbiając tego mistrza, uwielbiają własną namiętność i natchnienie. Do rzędu tych kompozycii M. należą: Robert diabeł, i Hugenoci. Z pierwszym wystąpił r. 1831 najpierw w Paryżu, potem w Londynie. Text do tej opery napisał *Scribe.* Wyżej wspomniony krytyk tak mówi o tej operze: Robert diabeł, jestto bohatyr, który dokładnie swojej woli niezna, z samym sobą w ciągłej walce zostaje, w trwożliwej niespokojności między zbrodnią i cnotą się kołysze, w usiłowaniach i przeszkodach się gubi i nie zawsze dosyć siły posiada, aby szatańskim pokusom się oprzeć: wierny obraz moralnego wahania się tamtych czasów. Nie lubię tej opery tego arcydzieła lękliwości, mówię lękliwości nie tylko pod względem wy-

konania. W niej bowiem nie ufa kompozytor swemu jeniuszowi, nie śmie zupełnej tegoż woli się poddać i zamiast rozkazywania gminowi, z drżeniem mu służy. Słusznie nazwano wtenczas M. bojaźliwym jeniuszem. Nie miał zwycięzkiej wiary w siebie, lękał się publicznego zdania, najmniejsza nagana go trwożyła, przeto pochlebiał wszystkim zachceniom publiczności.

Dopiero w późniejszej operze: Hugenoci, zajaśniał jeniusz Meyerbeera w całym blasku. Dotychczasowa lękliwość go opuszcza, a duch zupełnie posłuszny niczem niewięzionej woli w całej pełni się rozwija. Robert diabeł, walczy z samym sobą; w Hugenotach ta walka ustaje, natomiast występuje olbrzymia walka dwoch stronnictw. Od Don Juana niema większego zjawiska w państwie muzyki, jak czwarty akt Hugenotów. Co do mnie mniemam, że M. to zadanie nie za pomocą sztuki, ale natury rozwiązał. Owe sławne duo w 4tym akcie objawia szereg uczuć, które nigdy, przynajmniej nigdy z taką prawdą w operze nie wystąpiły, a dla których w naszych piersiach najdziksze sympatie płoną. Przy żadnej muzyce moje serce nie biło tak namiętnie, jak w czwartym akcie Hugenotów; wzruszeniom tego aktu przecież chętnie się usuwam i z daleko większą uciechą słucham drugiego aktu. Ten jest sielanką, z przyjemności i wdzięku podobną romantycznym komediom Szekspira, albo jeszcze więcej Amincie Tassa. Pod różami wesołości wieje w nim łagodna smętność przywołująca w pamięć nadwornego poetę Ferrary. Więcej tam tęsknoty za wesołością niż wesołości samej, niema serdecznego śmiechu, tylko jest uśmiech serca, które tajemnie chore o zdrowiu tylko śnić może. W Hugenotach objawia się M. bez bojaźni, w olbrzymich rysach odznacza całą swoją myśl; a wszystko co wrzało w jego piersi, śmie wylać się w niewstrzymywanych tonach. Najwięcej wyszczególnia tę operę równowaga między entuziazmem i umnieczem wykonaniem, czyli jednakowy szczyt, jaki zapał i sztuka razem osiągnęły. Człowiek i artysta tu w zawody idą, i gdy pierwszy w najszaleńsze namiętności wpada, drugi z dzikich tonów przyrody stwarza okropną, przecież miłą harmonię. Gdy ogół zachwycony jest wewnętrzną siłą, namiętnością Hugenotów, znawca podziwia mistrzostwo w formach. Dzieło to jest gotyckim tumem, którego niebotyczna budowa filarów i olbrzymi szczyt zdają się być postawione śmiałą ręką olbrzyma, podczas gdy niezliczone festony, rzeźby i arabeski, jako osłony z powiewnych korunek nad tumem rozrzucone, świadczą o niezmordowanej cierpliwości karła. Olbrzym w pojęciu i budowie ogółu, karzeł w niespracowanem przeprowadzeniu pojedyńczych części, jest twórca Hugenotów, równie jak dawni budowniczy tumów, dla nas niepojęty.

Mało jest artystów, którzyby tak wszechstronne wykształcenie posiadali, jak M., a właśnie tylko takie wykształcenie było w stanie wznieść jeniusz na to stanowisko. Jako muzyk Meyerbeer nie jest ani Niemcem, ani Włochem lub Francuzem; ale własnością całej ludzkości. *J. D.*

Rozmaitość.

Chmielnicki mawiał: powiadają, przed nieprzyjacielem uciekającym buduj most złoty, tylko, że ja mam sprawę z tatarami, którzy mostów nie potrzebują i wpław muszę za nimi. Powiadają o nim, że gdy mu Kantymir przekładał Dniestr za granicę, wskoczył na koniu w Dniestr i na obie strony rzeki uderzywszy kordem rzekł: I to moje i tamto!

Odrowąż, gdy w jednej bitwie wystrzelono mu zęby z wąsami razem, a w nagrodę męztwa dano mu starostwo kowieńskie, kazał się wymalować zęby w ręku trzymający, z napisem: Dano mi chleba, kiedym zębów pozbył.

Z niniejszym numerem kończy się półroczna prenumerata; szanowni prenumeratorowie którzy sobie nadal ten dziennik utrzymywać życzą, raczą się wcześnie z zaliczeniem na następne półrocze do głównego urzędu pocztowego we Lwowie, lub redakcii dziennika mód paryskick zgłosić.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI   DRUKIEM PIOTRA PILLERA.